

Wanda Sułkowska-Myśliwiec

Szkolne czasy w Krzemieńcu w 1939-1940 roku

Niepodległość i Pamięć 6/1 (14), 125-131

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wanda Sułkowska-Myśliwiec

Szkolne czasy w Krzemieńcu w 1939-1940 roku

Krzemieniec w okresie II wojny zmienił całkowicie swoje oblicze. Wrzesień minął bez nauki, ale był pełen wrażeń, szczególnie dla młodzieży.

Przez Krzemieniec przejechały wszystkie ambasady, jakie były w tym czasie w Warszawie oraz różne instytucje rządowe, wielu ludzi i cała masa uciekinierów.

Dzieci i młodzież nie zdawały sobie jeszcze sprawy, że to już jest wojna i że niesie ona śmierć i cierpienie.

Ja wraz z grupą koleżanek i kolegów biegałam po ulicach wypatrując samochodów. W rękach trzymałam mały atlas polityczny - nie każdy taki atlas posiadał. Była w nim tablica z flagami wszystkich państw świata. Samochody, którymi jeździli ambasadorzy miały na przedzie małe flagi państwowe. Czułam się ważna, gdyż wszyscy dopytywali się mnie z jakiego państwa jest ambasada. Ja szybko wyszukiwałam w atlasie flagę i wszystko stawało się jasne. Była to nie tylko rozrywka, ale również nauka geografii, gdyż następowała dalsza dyskusja na temat danego państwa.

Niestety, zakończyło się to bardzo szybko - zaraz po pierwszym nalocie niemieckich samolotów. Któregoś dnia nadleciały samoloty i w kilka minut zrzuciły bomby i dokonały ostrzału ludzi. Nikt nie był do tego przygotowany. Szkody były wielkie, a najwięcej zabitych i rannych było wśród ludności zgromadzonej na targowisku i ul. Szerokiej.

Od tej chwili rozpoczęły się alarmy lotnicze. Alarmy były częste i wywoływały przerażenie ale na szczęście samolotów już więcej nie było.

Na naszym podwórzu zbudowano schron przeciwlotniczy. Ponieważ dom mieścił się naprzeciw Starostwa przy ul. Kościelnej wszyscy interesanci biegli do niego w czasie nalotu. Były tam schody wejściowe, ale również otwory wentylacyjne. W czasie alarmu każdy spieszył się, ażeby jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Któregoś dnia ambasador szwedzki tak się pospieszył, że skoczył przez otwór wentylacyjny i złamał sobie nogę. Widziałam również jak Japończykowi, który przypalał od mojej siostry papierosa tak trzęsły się ręce, że miał trudności z przypaleniem. Dziwne, bo ja z ciekawością rozglądałam się dookoła nie odczuwając żadnego strachu. Widocznie czułam się bezpiecznie i nie miałam jeszcze świadomości co to jest wojna?

Po paru dniach wszystkie ambasady wyjeżdżały do Rumunii.

Tatuś zdecydował, abyśmy pojechali do pp. Kurzejów do Podhajec. Chodziło o p. Podosowską, która przyjechała do nas z małym dzieckiem aż z Sosnowca uciekając przed wojną. Gdy nareszcie po godzinie oczekiwania wjechaliśmy w ul. Szeroką to

przed nami jechał już cały sznur samochodów, a gdy obejrzałam się - nie widać było końca tych pojazdów. Gdy dojeżdżaliśmy do Wiśniowca tylko nasz samochód wylał się i zjechał w lewo. Pozostali jechali drogą prowadzącą na Rumunię. Właściwie to nie rozumiałam dlaczego tak wielu ludzi ucieka z ojczyzny i z własnego domu. A kto będzie walczył w jej obronie?

Uważałam wówczas, że w domu jest najbezpieczniej. A u pp. Kurzejów czułam się jak we własnym domu. Jeździliśmy tam z bratem prawie każdego roku na wakacje na całe dwa miesiące. To były zawsze wspaniałe wakacje. U pp. Kurzejów było już kilka osób - uciekinierów wojennych, nawet jacyś państwo samochodem. Wieczorem przy stole prowadzono dyskusje na temat obecnej sytuacji, ale było to jedynie takie sobie gadanie bo nikt nie wiedział co dalej może nastąpić. Tego, co się stało nikt nie przewidział.

Stało się to 17 września. Sowieci przekroczyli nasze granice. Wszyscy byli zaskoczeni i oburzeni - jak oni mogli to zrobić?

Tatuś przysłał po nas samochód i wszyscy wróciliśmy znów do Krzemieńca.

W naszym mieszkaniu było ciasno, pełno obcych ludzi. Ludzi, których trzeba było przygarnąć, nakarmić i dać jakiś kąs. Oni zostali zmuszeni do opuszczenia swoich domów. W sklepach wykupywano wszystko co się dało, a po chleb musiałam codziennie stać kilka godzin w kolejce.

Muszę zaznaczyć, że takiego wojska jakie mieli Sowieci to nikt nie widział. Rozpacz było patrzeć na tę zbieraninę. Żołnierz wysoki miał szynel do kolan, a temu małemu szynel płatał się do kostek. Żaden z nich nie miał butów ze skóry tylko jakieś szmaciane. A karabiny wisiały na przeróżnych sznurkach. Natomiast na głowach okropnie śmieszyły wszystkich materiałowe czapki ze szpicem na środku głowy. Dowcipnisie dogadywali, że ten szpic jest potrzebny wszom, które zbiegają się tam na mityng. Niedaleko Krzemieńca w Białokrynicy mieścił się 12 Pułk Ułanów. Był to wspaniały pułk. Podziwialiśmy dobrych żołnierzy w czasie każdego święta - 3 Maja czy 11 Listopada. Wszystkie defilady były nadzwyczajne. Na żołnierzach mundury lśniły - nie tylko buty, ale nawet guziki. Dlatego mieszkańcy naszego miasta byli przyzwyczajeni do innego widoku wojska. Co za ironia losu - tacy szmatławce wstąpili w nasze granice, zagarnęli nasze ziemie i jeszcze zaczęli panoszyć się i rządzić jak szare gęsi.

Nawet ci ważni enkawudziści niezbyt dobrze wyglądali, nosili płócienne buty z cholewami i wystrzępione szynele.

No i zarządzili, że młodzież ma iść do szkół. - No cóż, poszliśmy.

W naszym gimnazjum w Liceum Krzemienieckim rano uczęszczała młodzież ukraińska, a młodzież polska uczyła się od godziny 15-ej.

Zbieraliśmy się w klasach przed dzwonkiem. Najpierw wyciągaliśmy z za pieca nasze obrazy powrzucające tam przez Ukraińców. Wieszaliśmy w pośpiechu głównie obrazy święte. Następnie odmawialiśmy modlitwę, gdyż profesorowie ażeby uniknąć modlitwy - spóźniali się na pierwszą lekcję. Pamiętam, że tylko profesor matematyki p. Kac pytał nas czy odmawialiśmy już modlitwę i o ile nie - pozwalał nam pomodlić się. Poza tym często zmieniali się profesorowie, jak i często przenoszono nas z jednej klasy do drugiej. Trudno było się uczyć. Na koniec zniknęły wszystkie obrazy, a powieszono parę jakichś okropnych bohomazów.

Szybko ściemniało się, więc zapalano światło. To światło prowokowało chłopaków do robienia głupich kawałów. Polegało to na gaszeniu nagle światła, ale wtedy inni

szybko zapalali i powstawało miganie. Nie wszyscy wiedzieli o tym, że naprzeciwko gimnazjum na ul. Słowackiego mieściło się NKWD.

Krzemieniec był położony w jarze, a wokół były góry. Podejrzliwi enkawudziści uważali, że te błyski światła są nadawanymi sygnałami dla partyzantów, którzy ukrywają się w górach. Chłopcy nasi nie myśleli lub nie wiedzieli nic o partyzantach.

Kilka razy w tygodniu zjawiali się w naszym gimnazjum ludzie z NKWD do dyrektora. Nieraz nawet zabierano go na jakieś na pewno przykre rozmowy. Dyrektor niejednokrotnie upominał uczniów, aby zaprzestali kawałów ze światłem i niszczeniem nowych obrazów. Niestety trudno było ujarzmić młodą zbieraninę rozmaitych chłopaków, szczególnie teraz kiedy to nie wszyscy byli dawnymi wychowankami licealnymi. Zakazane zawsze podnieca i prowokuje. Dlatego gaszenie światła nie ustawało i również powtarzały się wizyty waśniaków z NKWD. Wciąż wymyślali nowe pretensje do biednego dyrektora. Dyrektor był szarpany, przesłuchiwany, aż jego słabe serce nie wytrzymało tego wszystkiego. Zakończyło się to śmiercią dyrektora. Jego pogrzeb w grudniu 1939 roku pamięta cała młodzież krzemieniecka, gdyż była to wielka manifestacja młodzieży. To wszystko zaważyło na losie naszego gimnazjum - rozwiązano je.

Ja opisuję to, co widziałam i słyszałam z pozycji uczennicy I klasy gimnazjum - miałam wtedy 14 lat.

Po świętach Bożego Narodzenia wszystko się zmieniło, musieliśmy chodzić do starego budynku dawnego gimnazjum samorządowego. Nasza obecna szkoła nazywała się Polska Średnia Szkoła nr 2, a dyrektorem mianowano niejakiego Pińczuka, dawnego więźnia Berezki Kartuskiej. Pińczuk był dla nas wstrętny, nawet powierzchownie niesympatyczny - mały, łysy, a na głowie miał dużego guza. Kiedy on odezwał się do młodzieży to nie była przemowa tylko wrzask, który kończył się dziwnymi wyzwiskami od jakichś "melonów". Nasza młodzież nie była przyzwyczajona do takiego traktowania.

Ja w tym czasie przyjaźniłam się z Olgą Puławską. Obie nie przejmowałyśmy się już wcale nauką, gdyż trudno było nagle zrozumieć, że w polskiej szkole musimy się uczyć rosyjskiego i ukraińskiego.

Nauczyciel, który uczył nas ukraińskiego mówił do nas tylko po ukraińsku, a myśmy ani "be" ani "me" - taka to była nauka. Uciekałyśmy z Olgą z niektórych lekcji - chowając się w szatni, ale to też było niebezpieczne, gdyż podejrzliwy dyrektor sam przeszukiwał szatnie. Jakoś nigdy nas nie złapał - udawało się.

Pińczuk dziwnie traktował uczniów, jakbyśmy byli więźniami. W czasie przerw drzwi na podwórze były pozamykane na klucz. Woźna twierdziła, że klucz ma tylko dyrektor. Na dużej przerwie dawano nam kubek czarnej kawy i kromkę czarnego chleba. Przy każdej okazji Pińczuk zaznaczał, że te śniadania on wywalczył dla nas w "Oświcie". Często wpadał też do klasy w czasie lekcji i wypytywał nauczyciela, których uczni brakuje. Następnie notował ich nazwiska w swoim czarnym notesie.

Lekcje stawały się coraz bardziej męczące i dlatego obie z Olgą byłyśmy tak bardzo zniechęcone do nauki. Często w ogóle nie chodziłyśmy do tej okropnej szkoły. Olga mieszkała w willi senatora Puławskiego - był to jej stryj. Mieszkali tam zajmując tylko dwa pokoje i kuchnię, reszta była zarekwirowana. Siedziałyśmy w kuchni, bo było cieplej, grałyśmy w karty zajadając jabłka - szare renety, które można było jeszcze kupić i to płacąc drogo jak za jakieś rarytasy.

W naszym domu było zimno, gdyż zima tego roku była wyjątkowo ciężka. Tatuś często chorował na bronchit, był w ogóle słabego zdrowia, a nerwy miał bardzo zszarpane. Podjął pracę w nowo odkrytej kopalni torfu. Sowici byli dumni z tego, że

to oni odkryli tę kopalnię. Ojciec znał dobrze język rosyjski i buchalterię, więc pracował w biurze, a mój brat Czesław wraz z Wackiem Malczewskim pracowali fizycznie przy wydobywaniu. Paliliśmy w piecach tylko torfem, który fatalnie się palił - dymił i okropnie śmierdział, ale nie było innego opału. Część naszego mieszkania zarekwirowano, więc musieliśmy niektóre meble powynosić do komórki, porozdawać a resztę ścieśnić. Niektórzy nasi goście musieli się wyprowadzić. Janka jednak nadal przyprawiała różnych swoich znajomych, którym dawała ubrania i żywność. Często jeździła też do Dubna i Równego. Przywoziła stamtąd jakieś ulotki w mydle - raz widziałam jak je wyjmowała.

Któregoś dnia przyszedł do nas profesor St. Szczepański - mój ówczesny wychowawca klasy. Dziwił się, że nie chodzę do szkoły i prosił, ażebym przychodziła. Tłumaczył mi jak bardzo ważna jest nauka dla młodzieży. Wyczuwałam, że przysłał go dyrektor Pińczuk i dlatego obiecałam, że przyjdę. Żał mi było profesora Szczepańskiego, gdyż był to bardzo dobry i łagodny człowiek. Obiecałam, więc wróciłam do szkoły. Już na pierwszej lekcji Pińczuk wezwał mnie do gabinetu i od razu zaczął krzyczeć a nawet ryczeć, że jestem "melonem", "balonem", i po prostu nieukiem. Byłam w pierwszej chwili gotowa się rozplakać, bo nigdy nikt na mnie tak nie krzyczał. Jednak opanowałam się i ogarnęła mnie złość, stałam się zła i w duchu życzyłam mu "naglej i niespodziewanej śmierci". Od tego czasu siedziałam z Hanką Kiczyńską - znałam ją od pierwszej klasy. Była ona sierotą i mieszkała kiedyś w internacie licealnym, ale w tym czasie w internatach mieszkała tylko młodzież ukraińska. Hanka zamieszkała więc z bratem u Romka Oleksego - ich przyrodniego brata.

Rozdano nam świadectwa przed Świątami Wielkanocnymi. Nie zachowało się - nie było czym się chwalić. Pełno dwój z ukraińskiego, rosyjskiego i tak dalej. Natomiast zachował się mój "Učnivskij Kvitok nr 361" czyli uczniowska legitymacja.

Nadeszły Świąta Wielkanocne roku 1940 i nastąpiły straszne wydarzenia dla naszej rodziny, jak i również dla innych Polaków.

W Wielki Piątek zjawili się w nocy - oficer NKWD z jakimś dwoma tajnikami. Najpierw przeprowadzali rewizję szukając broni, potem podali ojcu nakaz aresztowania. Tatuś był ledwo żywy, gdyż miał ropne zapalenie ucha. Byłam przerażona tymi wydarzeniami. Przeplakałam resztę nocy, aż dostałam gorączki i rozchorowałam się. Całą sobotę leżałam i brałam jakieś tabletki, ale w Wielką Niedzielę poszłam do kościoła. Gdy wróciłam w południe znów zjawił się ten sam oficer NKWD. Pytał o Jankę i zaraz podał jej nakaz aresztowania, a mnie zabrał jako świadka do przeprowadzenia rewizji w rzeczach Janki. Zapamiętałam, że nazwisko oficera brzmiało Truchun. Wszystkich zgromadził w jednym pokoju i zostawił tam żołnierza z karabinem. Pierwsze co zabrał do swojej teczki to była śliczna fotografia Janki, która stała w ramce przy jej łóżku. Następnie przrzucali wszystkie jej rzeczy, książki, walizki, łóżko w poszukiwaniu broni i nie wiadomo jeszcze czego.

Nad tapczanem wisiał ozdobny malowany buklak na wodę. Okazało się, że w tym buklaku coś szeleściło - coś tam było. Usiłowali to "coś" wyjąć, ale buklak był okrągły i szeroki, a szyjka wylotowa wąska i to "coś" nie chciało samo wylecieć. Cywil tylko tym się zajmował, potrząsał buklakiem i stawał się coraz bardziej wściekły, a to "coś" uparcie siedziało i nic. Potem oficer oświadczył, że idą obaj po samochód, a żołdat z karabinem ma nas pilnować.

W tym czasie wróciła Mama z Cześćkiem, byli w gmachu NKWD na Wiśniowieckiej rogatce, zanieśli ojcu paczkę i usiłowali dowiedzieć się coś o jego losach. Mama zobaczyła, co się dzieje w naszym domu, że żołdat pilnuje nas z karabinem i dowie-

działa się, że Janka jest aresztowana, okropnie się zdenerwowała. Janka starała się Mamę uspokoić i podała jej krople. Ale Mama po rosyjsku przeklinała Sowieców.

Wtedy stała się rzecz dziwna, bo ruski żołdat - młody jeszcze chłopak, rozplakał się i tłumaczył Mamie, że on jest tylko poborowym i powiedzieli mu, że idzie na wojnę, on nie chce prześladować cywilnych ludzi. Mama wzruszyła się tym, dała mu ciasto, a ja nalałam mu herbaty. Żołnierz usiadł sobie przy stole i chętnie zajadał. Co też się działo, kiedy wrócił oficer i zobaczył stojący karabin w kącie i żołdata przy stole. Wściekle zaczął rugać żołnierza a ten zameldował się i prosił o wysłanie go na front. Co dalej się działo nie wiem, gdyż ścisnęłam mocno Jankę, a ona wówczas szepnęła mi do ucha, ażebym natychmiast zdjęła z pieca mydło.

Gdy wszyscy obcy wyszli, że zgrozą zobaczyłam, że mydło pękło i ulotki wystają z niego całym pękiem. Zostało to natychmiast zdjęte, a ulotki Czesław wrzucił do piecyka żelaznego. On również wyjął drutem ten nieszczęsny list z bukłaka.

Zakończeniem naszej tragedii była noc 13 kwietnia, kiedy przyszli nocą po całą naszą rodzinę. Było dwóch cywilów - jeden Żyd, a drugi Ukrainiec. Przyprawdzili sowieckiego żołdata z karabinem i kazali nam się pakować.

Przeraziłam się - Boże, dlaczego wypędzają nas z naszego domu? Co będzie z nami?

Stałam otepiąta i nie wiedziałam co pakować. Mama również straciła głowę, płakała. Jedyną osobą opanowaną był Czesiek. On wszystko pakował do walizek, doradzał Mamie co tam wkładać. On wiązał bieliznę i pościel w tobołki. Poza tym przyniósł worki i mnie też kazał wkładać do nich odzież. Utrudniał mu bardzo żołdat z karabinem, który chodził za nim co krok. Nie pozwolił mu zabrać siekiery - widocznie bał się, że Czesiek ma ukrytą broń.

Natomiast za mną biegał mój ukochany kot "Żbik". Pytałam Mamę co będzie z kotem, bo przecież nie możemy go zabrać ze sobą. Mama po prostu nie wiedziała, nie miała głowy.

Żołdat w pewnej chwili powiedział do Cześka, że musimy komuś przekazać klucze od mieszkania. Ale komu? - Mama wtedy zdecydowała, że jedynie w tej chwili nie są wywożeni chyba biedni Żydzi i podała adres znajomego krawca - niejakiego Abrama Baraczina. Żołdat wysłał po niego tajniaka. Gdy przyszli Mama prosiła Baraczina, ażeby wziął klucze od naszego mieszkania i żeby niektóre rzeczy przekazał naszym krewnym, o ile oni pozostaną w Krzemieńcu. Ja zaraz zwróciłam się z prośbą, ażeby p. Baraczin zaopiekował się moim kotem. Furmanka chłopska już zajechała, więc musieliśmy przy pomocy tajniaków wszystkie rzeczy ładować i odjeżdżać.

Kiedy jechaliśmy przez Krzemieniec na stację ledwo świtało. Patrzyłam na zamglony Krzemieniec. Smutny był to widok - ulice zavalone kupami brudnego śniegu. Na ulicy Korzeniowskiego obejrzałam się na naszą szkołę. Liceum Krzemienieckie z kościołem pośrodku stało okryte we mgle jakby było zapłakane. Nie wiedziałam, że ten widok pozostanie na zawsze w moich oczach, jako ostatni pożegnalny obraz.

Nagle błysk myśli: Och, Boże - przecież tak niedawno biegałam po tych ulicach z "Małym Atlasem" w rękę - a teraz, gdzie on jest, zapomniałam go zabrać - no bo i po cóż mi on "tam"?

Po plecach przebiegły mi dreszcze, instynktownie przytuliłam się do Mamy, a ona do mnie, byliśmy takie osamotnione i zagubione.

Nagle usłyszałyśmy jakieś krzyki: - "Dawaj po wagonam!"

To już była stacja i musieliśmy swoje rzeczy ładować do wagonu, poganiani przez żołdatów.

- "Bystrej, bystrej!"

Po załadowaniu przysiadłyśmy na górnej półce przy oknie. Potem odjechaliśmy. Droga była długa i uciążliwa, wprost straszna. A ja przez zakratowane okienka bydlęcego wagonu patrzyłam na tę obcą ziemię ze ściśniętym sercem.

- Boże, gdzie nas wiozą, gdzie?

Te myśli nie opuszczały mnie przez całą drogę.



Fot. 1. Jan Sułkowski - w honorowym mundurze strażackim (ok. 1937/38). Pracował w Starostwie na stanowisku sekretarza Wydz. Powiatowego w Krzemieńcu. Fot. ze zbiorów rodzinnych W. Sułkowskiej-Myśliwiec.



Fot. 2. Natalia i Jan Sułkowsy. Kijów, ok. 1912/13.

Fotografie ze zbiorów Autorki wspomnień



Fot. 3. 17 września 1997 r. - grupa dąbrowskich Sybiraków pod pomnikiem Grób Nieznanego Sybiraka w Białymstoku. Autorka wspomnień - pierwsza z kobiet od lewej.